

214

6

# SCENA I ŻYCIE

**T**ę „wieczornicę ku czci” nowohucki Teatr Ludowy przygotował bardzo starannie. Serdecznym oficjalnościom i powitaniami

nie było końca, choć wernisaż okolicznościowej wystawy nie tylko swym gwarem przypominał... góralskie wesele. Kiedy bowiem boczną salą teatralnego foyer wypełnił skiębiony tłum ceprów, pośród których — obok oficjeli i skwaszonego przedstawicielstwa środowisk twórczych — wyróżniali się kombatanci i zuchy ze szkolną lilijką, pojawiła się pokaźna grupa w góralskich strojach. To był właśnie moment, w którym współreżyser i odtwórca roli głównej w części artystycznej powitał Gwiazdę Wieczoru przybyłą ze stolicy.

Z kolei Ona — ubrana w wieszczące nadzieję fiolety, objaśniła wszystkim gościom, którzy — jak zdotały donieść publikatory — „niepomni na dotkliwie mrozy przybyli tu z najdalszych zakątków Polski”, cel zaproszenia zrozumiełszy, iż wszyscy spotkali się, by wzajemnie uświadomić sobie, „dlaczego to winniśmy czcić i kochać Jana Kasprowicza”.

Jednym słowem: tuż przed godz. 19. w sobotę 12 stycznia 1985 roku, staliśmy pośród wystawy „Śladami Kasprowicza”, oczekując podniesienia kurtyny na polskiej prapremierze sztuki „Czas naturcy”. Autorką zaś obydwu przedsięwzięć, składających się na blisko czterogodzinny seans wspomnieniowy, była znana z „Przekroju” i Telewizji, pol-

ska George Sand — Barbara Wachowicz, która swoim temperamentem i elokwencją szybko zdobywała panowanie nad zaproszonymi.

Ten „wernisażowy monodram” pani Wachowicz sprawił, że martwe kuluary premierowe ożyły. Nikt też nie kwapi się do zajmowania miejsc, chociaż — jak straszą bileterzy — nadkomplet. Harcerze biegają po foyer, oficjeli wciągnęła wystawa, recenzentów zainteresowała zawartość baru, który za burzliwych czasów dyrektora Krygiera przyciągał widzów... koniakiem; górale natomiast, dopieszczani przez autorkę, raz po raz podnoszą wrzawę, podkreślając swą wdzięczną na tym wieczorze obecność. Wreszcie dzieci, które przyszły na świat w tym pierwszym socjalistycznym mieście i nie wiedzą już, co to była Mogiła, starają się za wszelką cenę dotknąć prawdziwego górala. Jednym słowem: „sami swoi, polska szopa”, prawdziwy teatr premiery.

Trzy dzwonki uporczywie dźwięczące w uszach przerywają jednak tę kontemplację, domagając się oglądania udratyzowanych „scen z życia Jana Kasprowicza” (taki podtytuł swej teatralnej „vie romancée” nadała pani Wachowicz). Nadzieja, którą wieszczył kolor sukni autorki przedpremierowego show, pryska jednak już w momencie pierwszego spojrzenia na otwartą ku widzowi scenę. Rzut oka na lewe proscenium uświadamia konieczność patrzenia na ganeczek góralskiej chaty tak ohydnie skle-

pionej, iż przypomina ona bardziej rozmierzwioną szopę niewymytego łba śpiącego w stomie parobka, niż znaną z autopsji sylwetkę podhalańskiej Harendy. Podobnie straszyc będzie wolna przestrzeń sceny, przedzielona wprawdzie trzema ukośnie biegnącymi „ścieżkami”-wybiegami, ale zamknięta orlim skrzydłem z „piórami” z papier-mache.

Prawdziwa tragedia zaczyna się jednak dopiero w momencie, kiedy po blackoucie pojawi się złożony niemocą Kasprowicz (Wacław Ulewicz) z czule nadskakującą mu Marusią (Zdzisława Wilkówna), by zapowiedzieć rychle swoje ze światem pożegnanie. Z tego też ganeczku zakutany w pled poeta przywoła całą swoją życiową drogę, a uczyni to w formie symbolicznych scenek, które w swoim fabularnym skrócie stanowią mają ersatz na temat kolejnego etapu życia Kasprowicza: a to kłopoty szkolne w systemie pruskiego nauczania, a to lwowska kariera dziennikarska, a to miłość do Jadwigi Gąsowskiej.

Po kilku takich biograficznych wycieczkach, których tekst to collage autentycznych wyimków z listów, pamiętników i spisanych anegdót, akcja szczęśliwie powraca na ganeczek, gdzie aktor grający poetę albo udaje, że tworzy, albo też w poetyckim szczeniobocię z Marusią przypomina znane dziełko szkolnej wierszki. Na tę teatralną Harendę wracamy zresztą z ulgą, bo struktura wypowiedzianych cytatów zbyt głośno szeleści papierem, a gust inscenizatorów

poraża ekspresjonistycznym kiczem.

Orgie u Przybyszewskiego, którego postać kreuje sam dyrektor Henryk Giżycki czy też bale, w których uczestniczy Marusia, są już rzadko spotykanym na polskich scenach przykładem najgorszego smaku. Widać to zarówno w „niesamowitości” kostiumu, który zaprojektowali również autorzy „szokującej” swą prentjonalnością scenografii (Józef Napiórkowski i Ryszard Stobniczki), w aktorskiej interpretacji (aktorzy to skandują, to przeciągają się lubieżnie), jak i w scenicznym ruchu (Bohdan Gluszcak).

Najgorsze jednak triumfuje wtedy, kiedy porzuciwszy swe retrospekcje, Jasiu gościć będzie Poldzia (Staffa), Lolka (Szymanowskiego) i Kornelka (Makuszyńskiego) oraz swe dorosłe w międzyczasie córeczki z małżeństwa z Jadwigą. W tym to momencie wkroczy na Harendę góralskie wesele, w którym członkowie folklorystycznego zespołu „Skalni” zmieszają się z aktorami. Od tego momentu, który trwa półgodziną „wieczność”, trudno już odróżnić amatora od zawodowca. Wytrzymałe ten spektakl do końca tylko... góralska widownia, bezbiednie rozpoznająca... swoich.

Na szczęście na koniec wystąpiła znowu... autorka, chwalać się odznaka... wzorowej uczennicy jednego z liceów imienia Kasprowicza. Szkoda tylko, że jej teatralna klasówka na tej wieczornicy bez końca wypadła tak słabo. Na półtorcze zatem Teatr Ludowy zasiadł w... „ośle ławie”.